

**FORCED**



MONIKA MAGOSKA-SUCHAR

# FORCED



Redaktorka prowadząca i wydawczynie: Ewelina Kapelewska

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Wojciech Bryda

Zdjęcie na okładce: © Chansom Pantip; © Ortis;

© Nina / Stock.Adobe.com

Wyklejka: © gojalia; © Nina / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2026 by Monika Magoska-Suchar

Copyright © 2026, Niegrzeczne Książki an imprint of Wydawnictwo

Kobiece Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-524-8

Grupa Wydawnictwo Kobiece | [www.WydawnictwoKobiece.pl](http://www.WydawnictwoKobiece.pl)



Bliss

*Nasze namiętności często  
stają się naszym nieszczęściem.*

- ZYGMUNT FREUD

## **BEZIMIENNY**

- Dla kogo pracujesz?! - ryknął osiłek w kominiarce.

Nie odpowiedziałem.

- Dla kogo pracujesz?! - wrzasnął ponownie, tym razem siarczyście mnie policzkując.

Nie ruszyło mnie to w przeciwieństwie do niego. Mój brak reakcji wzniecił w oprawcy wściekłość, nad którą ten nie panował, okładając mnie po twarzy i brzuchu. Robił to najpierw pięściami, a potem pałką, powtarzając wciąż jedno i to samo pytanie.

Czułem w ustach krew, a w głowie zamroczenie, ale konsekwentnie milczałem. Wszelkie informacje, którymi dysponowałem, były u mnie bezpieczne, bo nie dało się mnie złamać. Nie istniał sposób, by je ode mnie wyciągnąć. Wolałem umrzeć, niż zdradzić.

- Odpowiadaj: dla kogo pracujesz, do chuja?! - darł się.

Jego gniew coraz bardziej mnie bawił. Postanowiłem powkurwiać go jeszcze trochę. Wymruczałem pod nosem kilka niezrozumiałych dla niego słów.

- Co ty tam bełkoczesz? - warknął.

Wymamrotałem ponownie zdanie, którego nie miał prawa dosłyszeć, przez co pochylił się nade mną i zbliżył twarz do mojej.

Na to czekałem.

Zaatakowałem zniecka, niczym wąż, wbijając zęby w odsłoniętą szyję mięśniaka, który wrzasnął boleśnie. Nie puszczałem go jednak, mimo że próbował się bronić i walczyć ze mną. I choć byłem przywiązany do krzesła, przez co nie miałem do dyspozycji rąk ani nóg, w tej chwili to ja zyskałem przewagę nad przeciwnikiem. Wgryzałem się w niego bezlitośnie; jego krew zalewała mi twarz, a jemu ubranie.

– Kurwa! Kurwaaa! Puszczaj mnie, zjebie! Ratunku, niech ktoś mi pomoże! – rzeźił paker.

Gdybym mógł, śmiałbym się teraz na całe gardło, tak mnie bawiły jego rozpacz i słabość. Myślał, że jest kimś, tymczasem był cieniem, jak oni wszyscy. Na tym świecie nie było godnych mnie antagonistów. Nikt mi nie dorównywał. Leszcze.

– Błagam... On mnie zabije... – charczał, wciąż bezskutecznie ze mną walcząc.

Miał rację. Zamierzałem go zabić.

– Dosyć! – Z otaczającego nas mroku dobiegł mnie stanowczy męski głos. Wydał się znajomy.

Chwilę później z ciemności wypadło kilku mężczyzn, których twarze zasłaniały kominiarki, tak samo jak oblicze prześluchującego. Dopiero ich interwencja sprawiła, że musiałem go puścić. W ustach został mi płat jego skóry, który wyplułem im pod nogi. Nieszczęśnika, który charczał i wił się z bólu w ich ramionach, odciągnięto ode mnie, tymczasem w krąg światła wkroczył szpakowaty mężczyzna w eleganckim popielatym garniturze.

Nie pomyliłem się. Znałem skubańca! To był szef szefów.

– Pracodawca pyta pracownika o to, dla kogo ten pracuje – odezwałem się pierwszy, spluwając resztką tkanki, która zatrzymała mi się na zębach. – Jaki w tym sens? Chyba że FBI posądza mnie o zdradę. Jeśli tak, poddam się dalszym torturom, by wykazać swoją niewinność.

– Chciałem osobiście poznać legendę agencji, bo nie mieliśmy jeszcze okazji się spotkać przez pana ciągle misje – zwrócił się do mnie elegant, w którym rozpoznałem Sama Dullesa, dyrektora FBI.

– Nie mógł mnie pan po prostu zaprosić do biura lub na piwo? – parsknąłem.

– To byłoby trywialne. A pan nie lubi nudy, czyż nie? – odparł, uśmiechając się lekko.

– Mam ADHD. Jestem uzależniony od adrenaliny i akcji. Macie moje papiery, wiecie o mnie wszystko – skomentowałem.

– Papiery da się podrobić. Ma pan w tym wprawę, dlatego nie uwierzę w nic, co jest tam napisane – odpowiedział dyrektor, poważniejąc.

Mogłem jedynie uśmiechnąć się szerzej na tę, jakkolwiek patrzeć, słuszną uwagę.

– Dlatego chciałem naocznie się przekonać, czy to, co o panu mówią, Bezimienny, to prawda – dodał.

– A co mówią? – udałem, że nie wiem.

– Niezłomny, niezniszczalny, nieugięty – wyliczał.

– Widać lubią mnie łączyć z wyrazami zaczynającymi się na literę „n” – zakpiłem.

– Fakt – odparł dyrektor. – I to nie tylko tymi nacechowanymi pozytywnie. Jest pan nieujarzmiony, nieokiełznany, nonszalancki i niesubordynowany.

– Nieprzewidywalność ułatwia życie w tym zawodzie i też jest na „n” – mruknąłem.

– Dzięki niej z pewnością jeszcze pan żyje, bo brał pan udział w najtrudniejszych misjach agencji. Tam, gdzie inni dawali ciała, pan zawsze wychodził obronną ręką i prowadził wszystko do celu oczekiwanego przez szefostwo pana wydziału – skomentował.

– Wystawia mi pan ocenę roczną? – zażartowałem, poruszając się znacząco na krześle, by przypomnieć mu, że wciąż jestem związany.

Dyrektor jednak kompletnie to zignorował.

– Raczej bieżącą – oznajmił. – Sprawdzam, czy nadaje się pan do projektu, który jest w tej chwili kluczowy dla naszej agencji.

– Czyli to rekrutacja? – odpowiedziałem pytaniem.

Słowo „projekt” mnie ożywiło. Dulles mnie zainteresował. Praca była moim życiem, a adrenalina jego katalizatorem. Płynęła mi w żyłach, bez niej nie umiałem funkcjonować. Nuda mnie zabijała. Ostatni miesiąc był ciężki, bo po zakończonym z sukcesem projekcie miałem przestój w zleceniach. Czekałem na ten moment jak na zbawienie. Dlatego pozwoliłem się porwać, choć mogłem bez problemu skutecznie się przed tym obronić. Wreszcie coś się działo i wreszcie pojawiła się na horyzoncie możliwość, że będzie się działo i w przyszłości. Idealnie!

– Coś w tym stylu – potwierdził ku mojej radości dyrektor.

– Mam nadzieję, że przeszedłem ją pomyślnie – odpowiedziałem, z trudem powstrzymując entuzjazm.

– Byłbym rozczarowany, gdyby było inaczej – wyznał mój rozmówca, na co uśmiechnąłem się szeroko. – Wykazał się

pan godną pochwałą postawą. Nie pisał pan słowem o agencji, choć pana bito i przypalano papierosami. Jest pan silny i wytrzymały. Myślę, że idealnie się pan nada do moich celów.

Do jego celów? No proszę. Jeszcze nigdy żaden z dyrektorów FBI nie powierzał mi misji osobiście. Zawsze czynili to przez pośredników, by nikt nie łączył agencji z moją osobą i by nie zaszkodziło to mojej pracy pod przykrywką. A więc zadanie to musiało mieć wyjątkowy charakter, zwłaszcza że mężczyzna zwrócił się do ludzi, którzy towarzyszyli nam w mroku:

– Wyjdźcie.

Jeden z pakerów w kominiarce podszedł do niego i wyszeptał mu coś do ucha. Miał to nieszczęście, że umiałem czytać z ruchu warg, dlatego nim dyrektor zdążył mu odpowiedzieć, zrobiłem to za niego:

– Masz rację, kolego, jestem niebezpieczny, ale nie dla swoich.

Dulles uśmiechnął się przelotnie, po czym zwrócił się do obawiającego się o jego bezpieczeństwo człowieka:

– Słyszałeś. Agent Bezimienny nic mi nie robi, a ja muszę porozmawiać z nim w cztery oczy.

Mężczyzna przez chwilę się wahał, ale w końcu posłuchał rozkazu. Zawołał pozostałych i ruszył w ciemność, zapowiadając jeszcze, że w razie kłopotów czeka wraz z innymi za drzwiami. Po chwili zostaliśmy sami, jak sobie życzył dyrektor agencji.

– Tak lepiej – mruknął, po czym przyciągnął z ciemności krzesło i usiadł naprzeciwko mnie, zachowując przy tym jednak bezpieczną odległość.

– Boi się mnie pan – stwierdziłem.

– Byłbym idiotą, gdybym zaprzeczył – odparł, czym mnie ujął.

– Jak powiedziałem: swoim nie zagrażam – oświadczyłem.

– Pytanie, co pan rozumie pod pojęciem „swoi” – powiedział, patrząc na mnie badawczo. – W pracy agenta granica między tym, kto stoi po pana stronie a kto jest wrogiem, jest dość cienka i łatwo się może zatrzeć.

Zmrużyłem oczy.

– Rekrutacja trwa, jak widzę – podsumowałem.

On jednak nie potwierdził, tylko zapytał:

– Słyszał pan o próbie zamachu na mnie?

Skinąłem głową.

– Zalażł pan jakimś typowi mocno za skórę, skoro poważał się na to, by nasłać na pana mordercę – wyraziłem na głos swoje myśli.

– Ukryłem ten fakt przed opinią publiczną, ale widzę, że i tak jest pan na bieżąco – skomentował.

– Trzymam rękę na pulsie. Agencja to moje życie, moja rodzina i mój dom. Interesuje mnie wszystko, co jej dotyczy. Domyślałem się też, że skoro sam pan nawiązał do tego, co się stało, to znak, że potrzebuje pan mojej pomocy, by się tym zająć, czyż nie? – Popatrzyłem na niego z wyzwaniem. Zależało mi na nowym zajęciu. Zabawa w kotka i myszkę mnie nie kręciła, wolałem od razu wiedzieć, w czym rzecz i czego oczekuje ode mnie przełożony.

– Inteligencja nie jest na „n” – odparł, uśmiechając się szeroko.

– Za to niecierpliwość już tak – stwierdziłem rozbawiony. – Co mam dla pana zrobić, szefie?

Dulles spoważniał.

– Wahałem się, ale po naszej rozmowie jestem przekonany, że jest pan jedyną osobą, która temu podoła – skomentował. – Jednak z góry zaznaczam, że nie będzie to łatwe zadanie i może wymagać od pana poświęcenia. Czy jest pan na nie gotowy?

Poświęcenia? Czy on kpił?

Byłem agentem od kilkunastu lat. Całe moje dorosłe życie pracowałem dla FBI. Właśnie ta robota sprawiła, że nie miałem rodziny ani znajomych. Byłem sam. Bo nawet gdy przybierając kolejne maski i udając osoby, którymi faktycznie nie byłem, zyskiwałem przyjaciół, było to jedynie na chwilę. Ktoś taki jak ja nie mógł mieć sentymentów, uczuć. Nie mógł mieć imienia, nazwiska ani przeszłości. Z jej bagażem nie mogłbym być dobrym agentem i dyrektor powinien zdawać sobie z tego sprawę bez względu na to, co zmyśliłem w swoich sfigowanych dokumentach dla agencji.

– Nie mam nic do stracenia – powiedział pewnie.

– Oby tak było, a pana wierność FBI trwała dalej, niezłomna i niezniszczalna, jak przed chwilą, gdy poddawałem pana próbie. – Wbił we mnie świdrujące spojrzenie.

On naprawdę nadal się wahał?

– Jeśli pan we mnie nie wierzy, niech pan szuka dalej – odezwałem się, tłumiąc irytację, którą nagle poczułem. – Ale myślę, że pan już szukał i zdaje pan sobie sprawę, że lepszego niż ja pan nie znajdzie. Świadczy o tym liczba moich zasług dla kraju i agencji. Proszę przedstawić mi zadanie. Chcę usłyszeć, czego dotyczy.

– Nie dał mi pan dokończyć – stwierdził po chwili milczenia Dulles. – Poświęcenie polega na tym, że jeśli przyjmie pan to zlecenie, odwrotu nie będzie. Dane są wrażliwe. Otrzymując

je, zobowiązuje się pan wykonać zadanie. W przeciwnym razie czeka pana śmierć, bo będzie pan w posiadaniu informacji i materiałów, które mogą zaszkodzić Stanom Zjednoczonym. Rozumie pan powagę sytuacji? Stąd moje wahanie. Nie chcę narażać życia niewinnego człowieka. To może pana przerosnąć.

Musiałem się powstrzymać przed parsknięciem śmiechem.

– Wchodzę w to – stwierdziłem pewnie.

– Nie chce pan tego przemyśleć? – zdumiał się dyrektor. – Ta wiedza może pana kosztować głowę.

– Tym lepiej – odparłem.

– Jak to? – nadal dziwił się Dulles.

– To dodaje pikanterii zleceniu. Biorę je. Proszę mnie wdrożyć!

Tak. Byłem gotowy i na to czekałem. Im większe niebezpieczeństwo mi groziło, tym lepiej. Nuda zabijała. Wreszcie coś będzie się działo. Idealnie.

– Zacznę wierzyć w to ADHD – oznajmił dyrektor, rozpogadzając oblicze.

– Szaleństwo sprawia, że dobrze sobie radzę w tej robocie i wciąż jestem na tym padole – podsumowałem. – Inni już dawno nie dali rady. Mnie podnieca stres i zagrożenie. To moja dewiza, lepiej nie mógł pan trafić ze swoją sprawą.

– Dobrze, w takim razie przedstawię panu szczegóły, ale od tej pory, bez względu na to, co będzie pan myślał lub czuł do mnie i całej tej sprawy, nie może pan się rozmyślić czy zrezygnować z misji. Jest pan jej częścią i musi pan ją wypełnić lub polec w trakcie jej realizacji. Jeśli pan jej nie dopełni lub z jakiegoś powodu zrezygnuje, osobiście wpakuję panu kulkę w łeb, i to zanim zrobią to przestępcy, z którymi przyjdzie panu walczyć. Zrozumiano?

Nie musiał tego powtarzać, nie musiał straszyć. Ja wiedziałem już, że lepiej nie mogłem trafić. Lepszego zlecenia bym sobie nie wymarzył. Czułem, że czekałem na coś podobnego całe swoje życie i że to, co od teraz będzie moim udziałem, okaże się jazdą bez trzymanki. Ta zaś nakręcała mnie najbardziej.

– Co mam zrobić? – ponagliłem go.

– Najpierw podpisze pan umowę, w której zawarte są przedstawione przeze mnie przed chwilą warunki – odpowiedział, wskazując ruchem głowy na stojący w pobliżu drewniany stół.

– Proszę mnie zatem rozwiązać – zażądałem.

Dulles uśmiechnął się kpiarsko.

– Naprawdę chce pan, bym to zrobił? – zapytał.

W mig pojałem aluzję. Nie chciałem. W czasie tortur udało mi się już na tyle poluzować więzy, że teraz bez najmniejszego problemu oswobodziłem się ze sznurów. Kiedy opadły na podłogę, wstałem z krzesła, rozprostowując obolałe członki i rozmasowując nadgarstki.

Dyrektor, choć nic nie mówił, wyglądał na ukontentowanego. Wyciągnął w moją stronę dłoń ze złotym piórem wiecznym. Przejąłem je i ruszyłem do stołu. Mój wzrok przemknął po umowie. Było w niej zawarte to, o czym przed chwilą mnie poinformował. Od powierzonej mi misji nie było odwrotu. Nie dało się z niej zrezygnować ani od niej uciec, inaczej skazywałem się na karę śmierci ze względu na wejście w posiadanie danych, które były wyjątkowo wrażliwe. Słyszałem o podobnych przypadkach. Agencja w wyjątkowych i bardzo rzadkich sytuacjach uciekała się do przemocy względem własnych agentów i umów tego typu.

A to mi się gratka trafiła. Czy mogłem się wahać?

Złożyłem zamaszty podpis pod umową, jednak zamiast imienia i nazwiska zastosowałem kod liter i numerów, pod którymi kryła się moja tożsamość. Czy była prawdziwa i ta, z którą się urodziłem, to już inna kwestia, ale na pewno jedna z pierwszych...

– To mi się podoba – skomentował Dulles, wstając z miejsca i podchodząc do mnie. – Poszło szybciej i sprawniej, niż się spodziewałem.

– Zbędne analizy uprzykrzają życie – odpowiedziałem hardo. – Czego pan ode mnie oczekuje?

– Że doprowadzi pan do upadku osobę, która próbowała mnie sprzątnąć – stwierdził, krzywiąc się przy tym, jakby jadł cytrynę.

I tyle?!

Powiało nudą.

– Kto to taki? – zapytałem, starając się nie okazać mu swojego zawodu. Zabijanie na zlecenie nie zapowiadało niczego, czego bym do tej pory nie robił czy doświadczył. Poza tym takie zlecenie było jednorazowe, mało skomplikowane i krótkotrwałe, a ja liczyłem na misję z prawdziwego zdarzenia, wymagającą ode mnie wzniesienia się na wyżyny moich umiejętności i sprawdzenia się w absolutnie nowych warunkach. Nie byłem zadowolony z takiego obrotu spraw.

– Ktoś doskonale panu znany – odparł mój rozmówca, po czym spod umowy wyciągnął teczkę, którą pierwotnie wziąłem za podkładkę, i wręczył mi ją.

Otworzyłem ją i przejrzałem dokumenty.

– To mój cel? – spytałem zaskoczony. Zlecone mi zadanie mogło okazać się trudniejsze do wykonania, niż założyłem, a przez to znacznie ciekawsze!

– Owszem – przytaknął Dulles.

Wybałuszyłem na niego oczy.

– Chce pan, żebym zabił wiceprezydenta?!

Dyrektor zaprzeczył ruchem głowy.

– Oj tam, zaraz zabił – powiedział lekko rozbawiony. – To byłoby za proste. Śmierć jest jednorazowa. Zbyt krótko boli. Delikwent odchodzi z tego padołu i tyle, a ja chcę, by cierpiał długo i dotkliwie, nim to nastąpi.

Zmrużyłem oczy, wbijając w mężczyzną podejrzliwe spojrzenie.

– A więc to zemsta?

– Nie zaprzeczę – odpowiedział tajemniczo.

– Myślałem, że działam dla agencji, co zresztą zapisano w tej umowie. – Postukałem dłonią w podpisany przeze mnie papier. – Prywatnych zleceń nie przyjmuję. Moje czyny, nawet najbardziej krwawe, muszą mieć na celu dobro państwa i być przez to państwo aprobowane jako konieczność. Nie jestem najemnikiem ani prywatnym zabójcą, aby...

– Zawarł pan umowę z FBI, nie ze mną. Ja jedynie reprezentuję agencję – przerwał mi stanowczo Dulles. – Tak się po prostu składa, że interes państwa i agencji zbiegają się z moją prywatą.

Ta odpowiedź mnie satysfakcjonowała. Misja musiała mieć błogosławieństwo Stanów Zjednoczonych. Kłopotów poza nią i przez nią nie planowałem.

– Tak lepiej – mruknąłem. – Proszę mnie wdrażać dalej.

– Wiceprezydent stoi na czele największej w kraju grupy przestępczej zajmującej się handlem ludźmi – oświadczył.

No proszę. Robiło się coraz ciekawiej. Nie skomentowałem jednak tej rewelacji, pozwalając mężczyźnie się wygadać.

– Wysokie stanowisko sprawia, że jest poza wszelkimi podejrzeniami, a działalność jego grupy rozwija się w zawrotnym tempie i jest niewykrywalna. Czas to ukrócić.

– Dlaczego agencja nic z tym dotychczas nie zrobiła? – zainteresowałem się.

– Próbowaliśmy – odparł Dulles. – Niestety nasze działania spełzły na niczym. Za wiceprezydentem stoją ogromne międzynarodowe lobby, a także rzesze wyborców. Jak wiesz, mój poprzednik zginął kilka lat temu...

– W kularach się plotkuje, że został otruty – wszedłem mu w słowo.

– To nie plotka, a fakt. Za dużo wiedział. Dogrzebał się zbyt głęboko. Wiceprezydent to czubek piramidy złożonej z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi Ameryki i świata. Dyrektor zapłacił życiem za swoją wiedzę. Niestety, ja również ją posiadam, a oni już są tego świadomi.

– Stąd próba zamachu na pana.

– Owszem. Dlatego teraz czas na kontratak.

– I tu wkraczam ja – bardziej stwierdziłem, niż spytałem.

– Tutaj wkracza pan – przytaknął. – Ale nie jako morderca, jak pan sądził, tylko mój szpieg w domu wroga.

– Mam być podwójnym agentem? – doprecyzowałem.

– Idealnie pan to ujął. Ma się pan dostać w pobliże wiceprezydenta. Stać się jego prawą ręką i obserwować. Chcę namacalny dowód, że ten człowiek uczestniczy w procederze handlu ludźmi, bo jak na razie doskonale się z tym kamufluje.

– To może potrwać. Zbliżenie się do niego to jedno, pozyskanie jego zaufania to coś innego. Zdobycie informacji, na których panu zależy, trochę zajmie. Liczy się pan z tym?

– Jedyne, na co liczę, to pańska skuteczność w działaniu – zaznaczył stanowczo. – Muszę dorwać tego skurwiela i zrobić to na tyle szybko, by nie zdążył dorwać mnie pierwszy. Niech płaci za swoje zbrodnie i za to, że próbował podnieść rękę na mnie i moich bliskich. Infamia i sąd, który skaże go na dożywocie, będą najlepszymi z kar, jako wystraszająco bolesne dla kogoś z jego ego. Dlatego liczę, że pan do nich doprowadzi.

– Chyba nie mam wyjścia. – Uśmiechnąłem się, wskazując na umowę.

– Teraz na pewno nie – odparł poważnie Dulles. – W sprawę zamieszane są osoby rządzące Stanami Zjednoczonymi. To nie może wypłynąć bez dowodów. Do tego czasu sprawa jest ściśle tajna. Z nikim prócz mnie nie ma pan prawa o tym rozmawiać. Dla wiceprezydenta i jego otoczenia ma pan być wiernym sługą i zaufanym człowiekiem. Nikt nie może mieć wątpliwości co do pana intencji i lojalności względem niego.

– A co... jeśli pojawią się wątpliwości co do mojej lojalności względem agencji i pana? – zapytałem podchwytliwie.

– Takie ryzyko zawsze istnieje w pańskim zawodzie – skwitował. – Żeby dopiąć swego, agent może być zmuszony posunąć się nawet do zdrady, wszak cel uświęca środki, o czym pan powinien wiedzieć najlepiej.

Wiedziałem.

– Dorwę skurwysyna – zadeklarowałem.

– Gdybym w to wątpił, nie wybrałbym pana, Bezimienny – stwierdził Dulles wyraźnie ukontentowany moją postawą.

– Dzięki za zaufanie – mruknąłem.

– Od tej pory musi się pan trzymać z dala od agencji i ode mnie – pouczył mnie, choć doskonale znałem zasady. – Nikt nie może pana łączyć z FBI, a nade wszystko z moją osobą.

Jest pan sam. Sam pan działa i sam musi pan sobie radzić w obliczu zagrożenia.

Skinąłem głową.

– Od zawsze jestem sam. Dziwne by było, gdybym nagle działał w duecie – parsknąłem, bo nie wyobrażałam sobie, że miałbym w czasie misji działać z ogonem. Odpowiedzialność za kogoś drugiego i piecza nad nim byłyby upierdliwe i na pewno utrudniałyby mi pracę, ograniczając swobodę. Dobrze, że Dulles nie wymyślił mi partnera. To byłoby straszne.

– Skoro wie pan już wszystko, proszę opuścić mój dom. Od tej pory nie jest pan już w nim mile widziany aż do czasu zakończenia zadania z sukcesem – oznajmił.

– Czy to znaczy, że pańscy ludzie będą dla mnie równie niemili, jak byli wcześniej? – zapytałem, błyskając zębami w demoniczny uśmiech.

– Jeszcze panu mało atrakcji? – zapytał dyrektor z rozba-wieniem.

– Nic nie nastraja mnie do działania skuteczniej niż za-strzyk adrenaliny – wyznałem wesoło.

Parsknął śmiechem, po czym odezwał się do miniaturowe-go mikrofonu umieszczonego w butonierce marynarki:

– Pan Bezimienny jest intruzem na terenie rezydencji. Złapcie go!

Ogarnęła mnie euforia. Uwielbiałem to.

– Dzięki – rzuciłem jeszcze przełożonemu, po czym po-dążyłem przez mrok w stronę ukrytych drzwi, gotując się do walki.

Nareszcie koniec marazmu! Znowu zacznę prawdziwie żyć!

Pchnąłem skrzydło, za którym czekała na mnie uzbrojona banda ochroniarzy Dullesa.